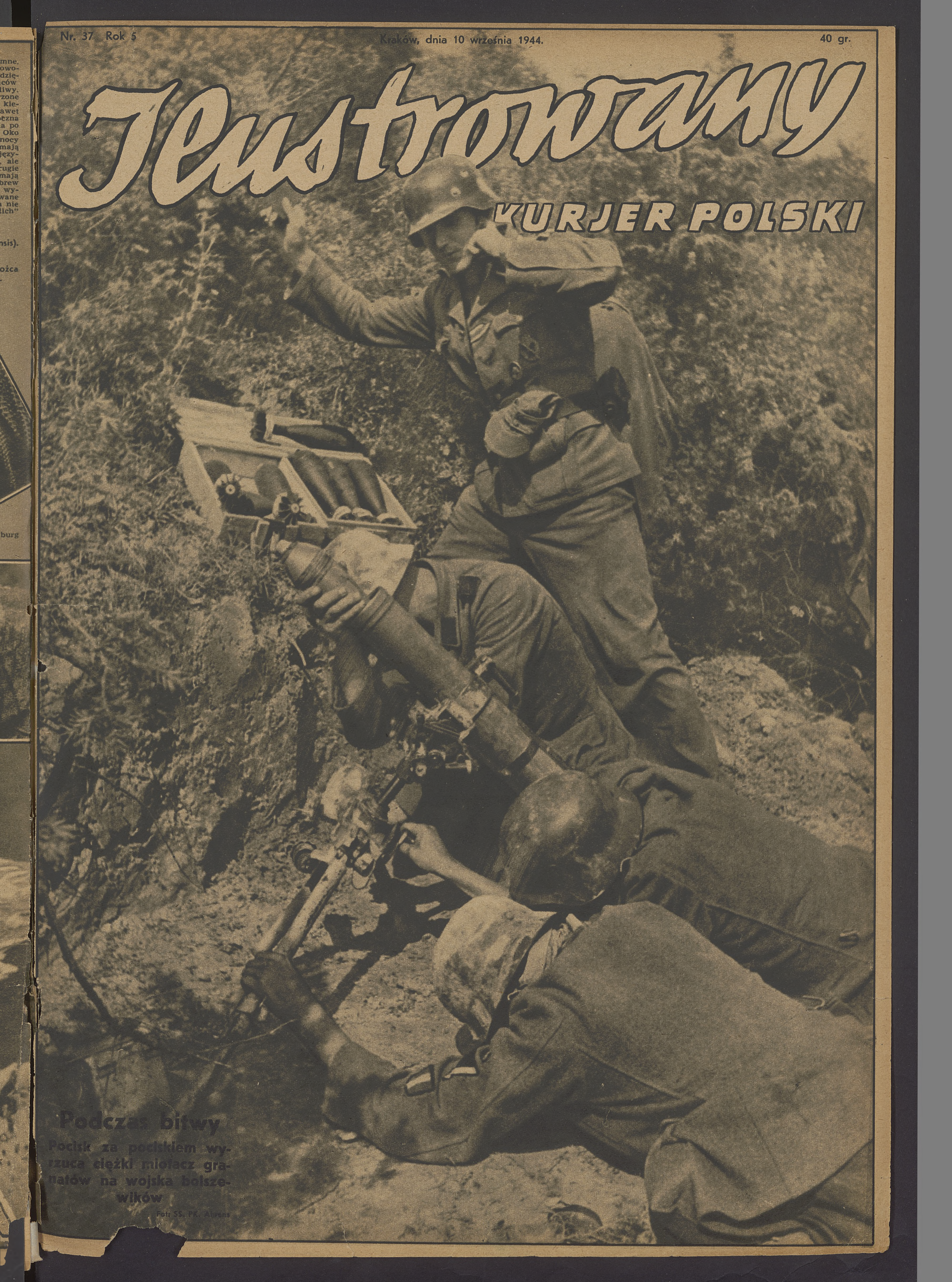
Nr. 37 Rok 5 Kraków, dnia 10 września 1944. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



Podczas bitwy

Pocisk za pociskiem wyrzuca ciężki miotacz granatów na wojska bolszewików

Fot: SS. PK. Ahrens

TRAGEDIA WARSZAWY

Niemiecki oddział szturmowy zdobywa jedną z ulic obsadzoną przez powstańców.



Powyżej:
Niemieckie działo szturmowe na ulicach Warszawy. Wobec takiej broni opór powstańców nie miał najmniejszych szans powodzenia.

Powstanie warszawskie przygotowane i finansowane przez Anglię spotkało się natychmiast z energiczną i w sposób drastyczny prowadzoną kontrakcją Niemców. Ten bezsensowny eksperyment nielegalnej organizacji okazał się w ostatecznym rezultacie katastrofą dla c a ł e g o miasta i jego ludności, która zupełnie niepotrzebnie padła ofiarą zakulisowych konspiracyj.





Powyżej:
Powstańcy oszańcowali się we wszystkich zakątkach miasta; nie zdołali jednak utrzymać swych pozycyj.

Na lewo:
Również barykady z wozów tramwajowych, autobusów i innych środków lokomocji wznoszone na ulicach miasta nie uchroniły powstańców przed zniszczeniem, śmiercią lub niewolą.

Poniżej:
Żołnierze niemieccy stawiają na pozycji lekkie działo szturmowe, by zniszczyć gniazdo o p o r u powstańców.





Powyżej:
W płonących domach mieszkalnych ginie cały, c i ę ż k o zapracowany dobytek mieszkańców.







Powyżej:
Niemiecki oddział szturmowy obsadza jedną z ulic, na której powstańcy spoza wzniesionej barykady na próżno stawiali zacięty opór.





Na prawo:
Uciekinierzy, którzy opuścili miasto spożywają pierwszy po przeżytych okropnościach, spokojny posiłek.

Na prawo u góry:
Tam gdzie niedawno pulsowało bujne życie, zapanowała dziś śmierć i zagłada.





Fot: PK. Collmer TO 4. DV 7.



Na lewo i powyżej:
Niemieckie dowództwo zaapelowało do wszystkich osób cywilnych nie biorących udziału w powstaniu, by opuściły miasto. Tysiące ludzi, w tym wiele kobiet i dzieci, unosząc resztki swego dobytku opuściło Warszawę, mimo iż powstańcy często kierowali na nich ogień.





Na lewo:
Doskonały tancerz Gino Neppach jako mistrz ceremonii w jednej ze scen tanecznych.

Obok:
Znakomity tancerz-akrobata Fr. Karhanek jako książę Kalaf w skoku tanecznym.

Poniżej na lewo:
Efektowna scena z księżniczką Turandot (Ewelina Marek) i katem (Heinz Dittrich).

Wszystkim zapewne znana owa niesamowita opowieść o pięknej chińskiej księżniczce Turandot, co nie chciała nigdy wyjść zamąż.

Ponieważ z twej miny czytelniku poznaję, że znasz aż nadto dobrze ową zastraszającą historię, więc zaprzestanę o tym szeroko mówić, a tylko coś nie coś, na wszelki wypadek, wspomnę:

— Miał jednak niezdarny i zdziecinniały cesarz chiński odrobinę zdrowego rozsądku, jeżeli nie chciał oddać w dziedzictwie swej korony jedynej córuchnie okrutnej Turandot, która ani myśleć nie chciała o zamążpójściu.

Wiele najrozmaitszych obiecanek ojcowskich, najwyszukańszych i przekonywujących słów rozbijało się o nieugięty upór księżniczki. I sporo czasu upłynęło zanim piękna Turandot, pod warunkiem, wyraziła zgodę na zamęście.

„Ten tylko starający się zostanie moim mężem, który odgadnie postawione mu przeze mnie trzy zagadki. W przeciwnym wypadku śmiałość swą opłaci głową."

Niezmiernie ciężki był ten warunek i wyjątkowo dużo pracy przysporzył nadwornemu katowi.



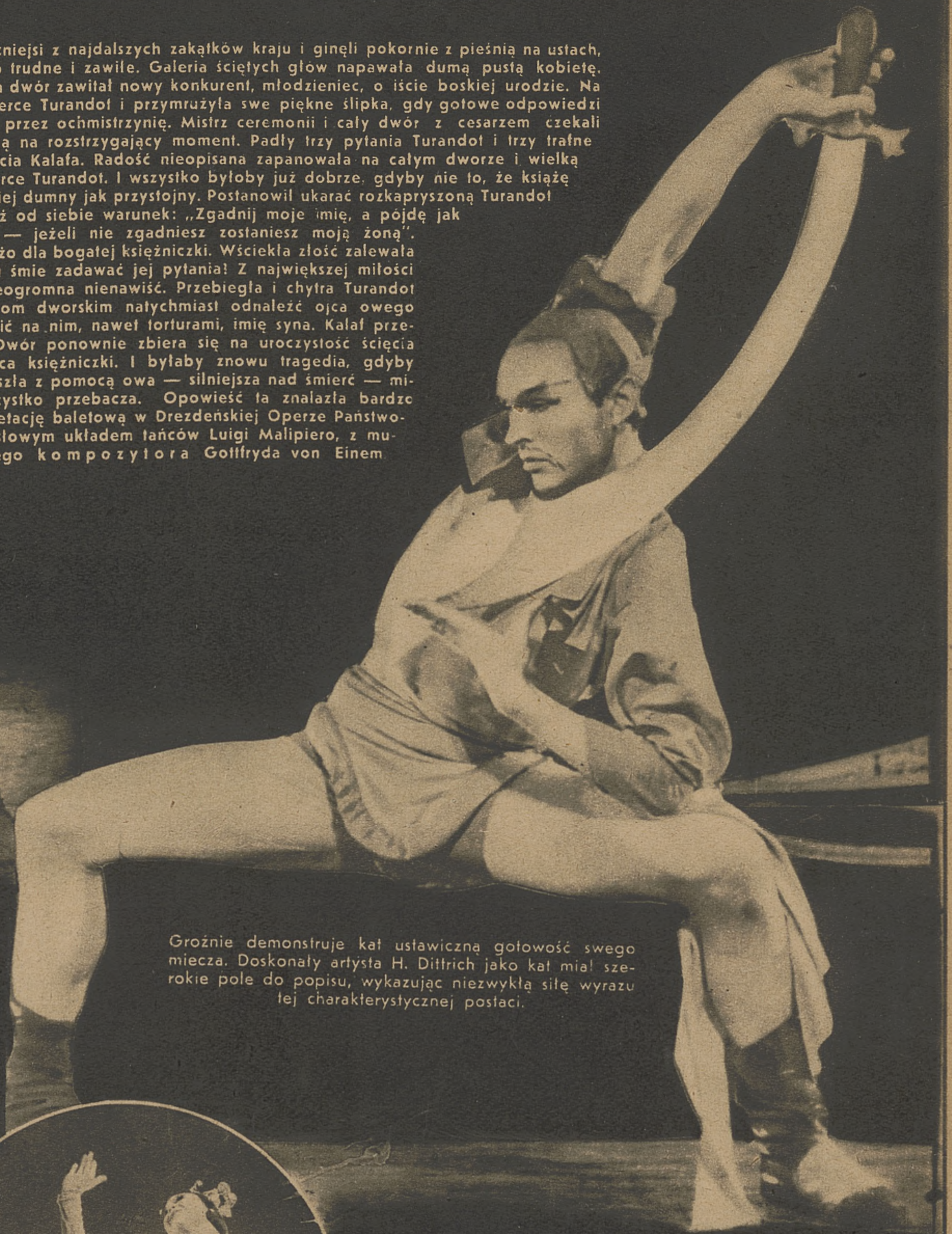
Wybitnie utalentowana urocza tancerka Ewelina Marek znalazła w obrazie baletowym pt. „Księżniczka Turandot" — ziszczenie swych artystycznych marzeń i porywów. W roli księżniczki Turandot odniosła niebywały sukces i zyskała szczerą sympatię publiczności, która rzęsistymi oklaskami nagrodziła jej mistrzowską kreację.

KSIĘŻNICZ

Zgłaszali się więc najodważniejsi z najdalszych zakątków kraju i ginęli pokornie z pieśnią na ustach, gdyż zagadki były wyjątkowo trudne i zawiłe. Galeria ściętych głów napawała dumą pustą kobietę. Aż nagle pewnego poranka na dwór zawitał nowy konkurent, młodzieniec, o iście boskiej urodzie. Na widok jego zmiękło twarde serce Turandot i przymrużyła swe piękne ślipka, gdy gotowe odpowiedzi otrzymał on drogą „okrężną" przez ochmistrzynię. Mistrz ceremonii i cały dwór z cesarzem czekali z niecierpliwością na rozstrzygający moment. Padły trzy pytania Turandot i trzy trafne odpowiedzi księcia Kalafa. Radość nieopisana zapanowała na całym dworze i wielką falą napełniła serce Turandot. I wszystko byłoby już dobrze, gdyby nie to, że książę Kalaf był nie mniej dumny jak przystojny. Postanowił ukarać rozkapryszoną Turandot dając jej również od siebie warunek: „Zgadnij moje imię, a pójdę jak inni na śmierć, — jeżeli nie zgadniesz zostaniesz moją żoną". Tego było za dużo dla bogatej księżniczki. Wściekła złość zalewała jej serce. Jak on śmie zadawać jej pytania! Z największej miłości zrodziła się przeogromna nienawiść. Przebiegła i chytra Turandot rozkazała rycerzom dworskim natychmiast odnaleźć ojca owego śmiałka i wymusić na nim, nawet torturami, imię syna. Kalaf przegrywa sprawę. Dwór ponownie zbiera się na uroczystość ścięcia głowy oblubieńca księżniczki. I byłaby znowu tragedia, gdyby w porę nie przyszła z pomocą owa — silniejsza nad śmierć — miłość, która wszystko przebacza. Opowieść ta znalazła bardzo piękną interpretację baletową w Drezdeńskiej Operze Państwowej, z pomysłowym układem tańców Luigi Malipiero, z muzyką młodego kompozytora Gottfryda von Einem



Wybitnie wyrazista plastyka tańców Eweliny Marek i Fr. Karhanka była godnym podziwu uzupełnieniem całości.



Groźnie demonstruje kat ustawiczną gotowość swego miecza. Doskonały artysta H. Dittrich jako kat miał szerokie pole do popisu, wykazując niezwykłą siłę wyrazu tej charakterystycznej postaci.



Na lewo w kole:
Zaledwie 15 lat licząca tancerka Ewelina Marek jako piękna księżniczka Turandot.
Poniżej:
Ewelina Marek jako Turandot i Gino Neppach jako mistrz ceremonii w efektownym tańcu zespołowym.

KA TURANDOT

Pielęgnujcie zapasy zimowe



Powyżej:
Niektóre jazyny, np. marchew, buraki, pietruszkę przechowuje się w piasku w piwnicy.



Powyżej:
Ziemniaki muszą być co jakiś czas przeglądane i przebierane, aby zapobiec psuciu się.

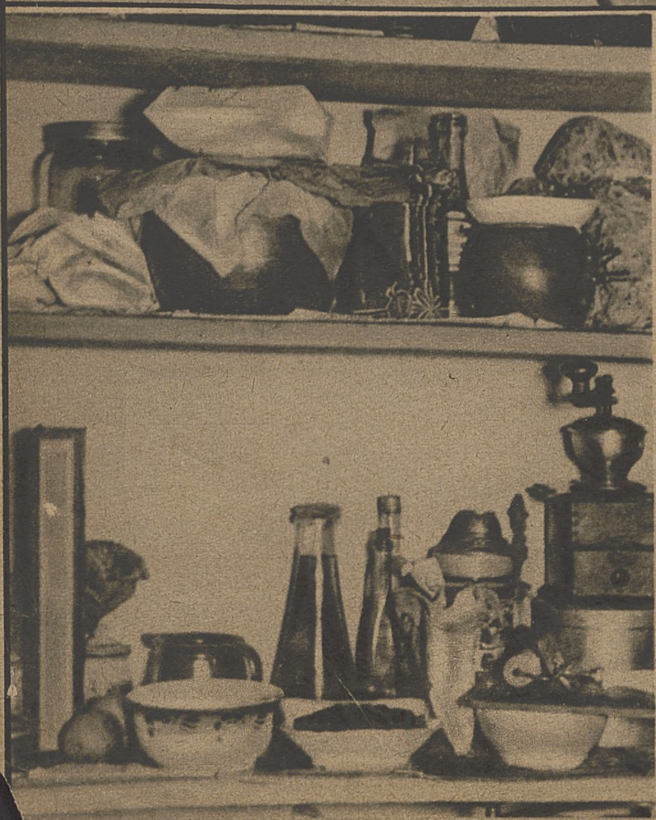


A oto wzorowo prowadzona śpiżarnia. Skrzętna gospodyni zauważyła, że pierścień gumowy rozluźnił się. Natychmiast usuwa słoik, a zawartość jeszcze raz przegotowuje.

Fot: Ldw. Bdst.

Podobnie jak wszystkie panie domu, również i pani Giza postanowiła w tym roku zaprawić sobie owoce i jarzyny na zimę. Gdy już wszystko było gotowe, przejrzała p. Giza wszystkie swoje zapasy i zamknęła swoją śpiżarnię, bo przecież zapasy przewidziane są na zimę, a tu dopiero początek jesieni. P. Giza zapomniała jednak o tym, że przygotowanie i uporządkowanie zapasów to jeszcze nie wszystko. Trzeba teraz zebrane zapasy kontrolować co pewien czas i pielęgnować. Ot tam np. marmolada nie jest w porządku. Ma jakiś nalot. Jak to się mogło stać? Pewnie słoiki nieszczelne. Nic na to już poradzić nie można. Pozostaje tylko usunąć pleśń i zawartość jeszcze raz przegotować. Jeśli pozostawiło się pleśni czas na rozrośnięcie się, można jeszcze marmoladę zużyć ale przy zachowaniu ostrożności i możliwie szybko. W słoiku z wiśniami ukazują się bańki. Tutaj również grozi niebezpieczeństwo zepsucia całego zapasu. Trzeba wiśnie przegotować i zużyć. Flaszki z sokiem należy też często badać, czy korki są dobrze zabezpieczone. Po tej pierwszej próbie p. Giza dwa razy w tygodniu zagląda do swojej śpiżarni i nie pozwoli sobie na żadne uchybienie w kontroli. Pani Giza myśli także o przyszłości. Pamięta o błędach, które popełniła w zeszłym roku. Już teraz przygotowuje kamienne garnki na późniejsze jarzyny i beczkę na kapustę. Przygotowuje na swoim miejscu wszystko co do tego potrzebne: deski, płótno i kamień. Pamięta co w przeszłym roku błędnie zrobiła, mianowicie nigdy już nie dopuści do tego, aby w naczyniu nie było płynu ponad kapustą i jarzyną. A jeżeli nie będzie, doda do naczynia trochę przegotowanej i ostudzonej słonej wody. Kamień, płótno i deski będzie stale utrzymywać w czystości. Także i suszone jarzyny ma p. Giza w tym roku przygotowane. Na słońcu lub w piecu suszyła jarzyny, grzyby, zioła, owoce i herbatę. Ale woreczki z suszonymi zapasami powiesiła w tym roku w całkiem suchym miejscu. Ubiegłego roku suszone zapasy zawilgły tak, że musiała, za radą znajomej, jeszcze raz je zwilżyć i powtórnie wysuszyć,

Ciąg dalszy na str. 10.



Na prawo:
Tak nie mogą wyglądać słoiki! Stała kontrola jest konieczna, aby natychmiast przedsięwziąć środki zaradcze.

Powyżej:
Aby przeszkodzić zepsuciu się kapusty, trzeba co pewien czas zaglądać do naczynia, czy nie utworzyła się pleśń.

Na lewo:
Jak nie **powinna** wyglądać śpiżarnia!



KRYSTYNA WAJCHT-SALABURSKA

ŚWIAT JEST INNY

SZKIC

5 ciąg dalszy

Serce podchodzi Nunie do gardła! Opiera się o chłodne, z trzaskiem zamknięte drzwi, jakby chciała uciec jak najdalej, usunąć się z całą ścianą.

Mamusia.

Mamusia odrzuca papierosa i rzuca się w ramiona Nuny:

— Nuna! Nunuś! Córeczka!!

Ręce Nuny wiszą bezwładnie wzdłuż ciała, niby ołowiane ciężarki, niezdolne do oddania uścisku. Bezwolna daje się posadzić na kanapie, czuje nieznośnie mocne, mdłe perfumy, od których robi się niedobrze, zasycha w gardle.

Mamusia zastyga nagle, jakby rażona obojętnością Nuny i patrzą na siebie w nieznośnie długim milczeniu.

Nuna spogląda krytycznie w zbyt jaskrawo wymalowaną twarz, na zalotne, jasne loczki spiętrzone nad czołem, w niebieskie oczy obramowane sklejonymi od tuszu rzęsami, pod którymi lekko, leciutko rysuje się drobna siateczka zmarszczek.

Zupełnie obcą jest ta pani o idiotycznie zdziwionych, wyskubanych brwiach... Zupełnie obce jest spojrzenie jej oczu, które zachodzą łzami pod wpływem nielitościwie ironicznych spojrzeń Nuny. Zupełnie obcą!

To nie jest zmartwychwstała świętość dziecięcych wspomnień, o nie! Cóż za związek ma ta pani z nieprzespanymi, dręczącymi nocami Nuny, z rwącym bólem zranionego ramienia, ze łzami gorzkimi wielkim zawodem?

— Dlaczego nic nie mówisz, Nuno?

Och, jakże nierozumna! Więc można było kiedyś rzucić Nuną jak psiakiem i iść sobie w świat i łudzić się dzisiaj, że za jednym ciepłym słowem stopnieje w męce skostniała dusza Nuny i z dawną ufnością pochyli się do białych, wąskich, wypielęgnowanych rąk!

Zbiera się w Nunie masę cynicznych, niemal obelżywych słów, które gwałtem chciałaby rzucić prosto w wypudrowaną twarz matki.

Zaciska usta. Nie wolno! Bo i po co? Czy nie lepsza obojętność?!

Tak... zupełnie chłodna, nawet uprzejma mina i swobodny, konwencjonalny ton:

— Co u ciebie słychać?

— Ach, to mało ważne! Mów lepiej co z tobą, co u ciebie, tak chciałam zawsze wiedzieć, jak żyjesz, co robisz, jaka jesteś!

Nuna uśmiecha się lekko. Jak gdyby nie można było napisać od czasu do czasu listu!

— A no, chodzę do szkoły... uczę się...

— Ciekawe do czego masz zamiłowania, czego najchętniej się uczysz? — mówi mamusia z nerwowym pośpiechem, jakby nadrobić chciała tamto milczenie.

Jakie to śmieszne! Po cóż ona zadaje takie pytania! Cóż ją to obchodzi, jakim prawem...

— Nie mam żadnych zamiłowań i nie lubię się uczyć! Bardzo nudno mi w szkole!

— To źle, Nuno, ja w twoim wieku marzyłam o studiach, wiesz, o fizyce! Ale jaka z ciebie panna! Zupełnie nie jesteś do mnie podobna!

— Tak, nie jestem do ciebie podobna — dodaje w duchu: — na szczęście!

A nie tak dawno, zaledwie parę lat, mówiło się z namaszczeniem: — „Ach, jaka śliczna jest moja mamusia!"

Na aksamitnej, drobnej ręce natarczywym blaskiem mieni się obrączka. Nuna pyta niedelikatnie:

— Co to? Czy jesteś mężatką?

— Tak... wzięłam ślub cywilny.

— Ach, tak!

— Przeszkadza ci to, Nuno?

— Nie, skądże!

Cóż ją to może obchodzić! Jaka dziwna! Mówi tak, jakby robiła tylko to, co Nunie nie przeszkadza!

W całej rozmowie Nuna unika słowa „matka" jakby ten piękny, czuły wyraz był zbyt piękny, zbyt święty, aby wypowiadać go w tej chwili. Niemal fizycznie odczuwa fałsz i przymus tej przykrej sytuacji.

— Ty na długo tutaj?

— Nie, na parę dni. Interesy... Maks ma tu przecież kamienicę...

Nuna oddycha z ulgą. Chciałaby już sobie iść, ale nie wie, czy wypada, więc bawi się niezręcznie frędzlami poduszki.

— Myślę, Nuno, że napiszesz teraz czasem do mnie, zanotuję ci na karteczce adres.

Nuna bierze podaną kartkę z niezłomnym postanowieniem, że wyrzuci ją do pierwszego kosza na ulicy. O czymże mogłaby do niej pisać i po co, z jakiej racji?!

— A może odwiedzisz mnie kiedy? Postaram się, żebyś mile spędziła czas!

— Mam dużo pracy! Szkoła zawsze absorbuje!

— Mówię o wakacjach!

Nuna zrywa się gwałtownie! Patrzy na zegarek i mówi z dobrze udanym przerażeniem:

— Jak późno! A ja mam dziś jeszcze lekcje!

— Szkoda, że musisz iść, ale myślę, że się jeszcze spotkamy, Nuno i kto wie, może szczerze porozmawiamy?! Pozwolisz, że cię pocałuję?

tych wstrętnych, duszących perfum. Z ulgą wyswobadza dłoń
tych wstrętnych, duszących perfum. Z ulgą wyswabadza dłoń z rąk matki i wychodzi szybko bojąc się, że ją może jeszcze zatrzymać! Zdenerwowana, podniecona wchodzi do gabinetu tatusia.

— Wiesz? Ona przyjechała, jest u cioci Marty!

Nigdy nie przypuszczała, że takie wrażenie mogą zrobić jej słowa! Twarz tatusia pokryła się kredową bladością.

— I co... i co ona?

— Ach, wstrętna! Wymalowana, jak najgorsza! I wiesz... ona mnie całowała!!! Ścierałam potem te pocałunki, ona...

Głośny policzek wymierzony silną, męską ręką spada na twarz Nuny. Zatoczyła się jak pijana. Wściekłe oczy ojca smagały ją spojrzeniem ostrym, jak nóż.

— Jak śmiesz, jak możesz... ty!!!!

Uciekła trzaskając drzwiami. Twarz paliła nieznośnie, jakby nie jedna ręka, ale setki rąk biły w nią bez przerwy. Odgłos uderzeń powtarzał się bez końca w duszy echem, które nigdy nie umrze. Nienawiść zacisnęła pięści, zamąciła w głowie. W sercu tłukło się jedno wielkie pragnienie: iść stąd! Odejść! Nie wracać nigdy do tego mieszkania, które o ironio, nazwano jej domem!

Iść! Iść jak najdalej!

Świeże powietrze chłodzi podniecenie...

Myśli, jak natrętne osy cisną się bez końca. Więc kocha ją jeszcze, więc niczym dla niego córka, jeśli...

Więc tak!

I już nikogo, nikogo na świecie! Już zawsze sama!

Ach, wyrwać się! Zapomnieć o nich, o ich tragediach, oderwać się, wyjechać, zacząć jakoś inaczej!

Zatrzymuje się przed znanym dziwnie domem.

Znanym. Tak. W pewien równie smutny dzień, ta sama brama, te same brudne schody, poddasze, drzwi Piotra!

Naciska klamkę. Przy stole siedzi Piotr i pisze coś odwrócony od drzwi.

— Piotrze!

Zrywa się szybko. W ruchu tym jest jakieś dziwne zaskoczenie, pośpiesznie chowa rozłożone papiery. Tak, właśnie, nie cieszy się z przyjścia Nuny, lecz chowa swoje papiery!

— Co ty pisałeś, Piotrze?

— Ach nic! To moje... to...

— To był list Piotrze!

— Ależ nie! Zapewniam cię!

— Do kogo był ten list?

— To nie list, Nuno, co ty sobie stwarzasz!

PROFILE



Wykwintny elegancki pies-arystokrata.
Ma herby, jak przystoi — odwiecznie — na charta!
Przez różne, różne dzieje... przez wiele stuleci
ozdabia portretowe jaśniepańskie dzieci...

Dla wielkich pań wytwornych też był bardzo w modzie..
Towarzyszył myśliwym z mnóstwem pałek w rodzie...
— więc z pogardą spogląda w nowy psi „arsenał":
wie, że tak rasowego, tak pięknego — nie ma!!

Jedną tylko ma plamę na swojej wielkości,
pewne przysłowie... może niepełne słuszności!
„głupi, jak chart..." Ha, trudno! Magnackie przysłowie..
Im więcej pałek w herbie — tym mniej klepek w głowie



Ten pan chow-chow się zowie (to się czau-czau czyta)
Dość bliski krewny „szpica", dzieci faworyta.
Zrobił do aparatu grzeczny wyraz twarzy...
ale widać, że wszystkich wokół lekceważy

i po minie mu poznać — rzecz to oczywista! —
że to wesół i pełen wiary optymista.
Szczeka chętnie i cienko... (pewnie nie wie o tym,
że szczekanie jest srebrem, a milczeniem złotem...).

Prawdę rzekłszy — to małpę przypomina więcej,
niźli psa... Lecz pysk głupstwo — najważniejsze serce
a że to pies rasowy, a nie psia zakała,
kocha swą modną panią w sznurkowych sandałach.



Oto rzymskie „oblicze" szerokie i mocne,
żołnierz-samarytanin, co śmierć lekceważy!
Poświęcenie mu duszę przetrawiło do cna
i bezmierną łagodność wyryło na „twarzy".

Abstynent. Choć na szyi ma butelkę z winem
(nie na zdjęciu, lecz w górach świętego Bernarda)
nigdy jeszcze nie shańbił się pijackim czynem...
Cechuje go dla wszystkich ziemskich spraw pogarda

i tylko jedno w krwi ma, w umyśle i w duszy:
uratować turystę od śniegowej śmierci!
— Aż się prosi całować te poczciwe uszy...
i tę przezacną mordę przyjaciela dzieci...



Oto maska przestrogą i groźbą zakrzepła:
— Odczep się! Idź do diabła! Nie rusz... Nie zaczepiaj...—
Rasowy jest, to racja i brzydki — też prawda!
a brzydota odstrasza — to wiemy od dawna.

Bardzo jest delikatny ten „francuski piesek",
lubi spać na kanapkach a siadać wśród krzeseł...
Lecz co słuszne, to nie grzech, a więc przyznam szczerze:
inteligentne, mądre i sprytne to zwierzę!

i silne — i zawzięte — we walce uparte —
a upór znamionuje czasami charakter!
Zaprzedan swemu panu! wróg dla jego wroga!
Dumny Silny. I skryty... To profil b u l d o g a.



Jakże niewinny wygląd ma ten pies złowrogi!
Pysk łagodny, okrągły i szczenięca mina —
a biedny c e l, za którym on rozpuści nogi:
już nie ujdzie z krwiożerczych szczęk tego olbrzyma.

W potężnych barkach cicho straszna siła drzemie
i śpi pod płaską czaszką jakaś myśl myśliwska...
tylko dziwnie podstępne badawcze spojrzenie
ostrzega, że najlepiej — nie podchodzić blisko!

Ten pluszowy przepiękny pies, „syn" rasy sławnej —
oto najlepszy dowód, jak mylą pozory:
Coś wygląda „na oko" miękko i łaskawie
a w istocie jest dzikie i krew przelać skore!

Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg Tekst: M. A. HESSEL

— Więc pokaż!
— Spójrz, Nuno, to bruliony, nie pisze się w brulionach listów!
— Daj to, pokaż!
— Nie masz prawa mówić do mnie tonem sędziego śledczego!
— Mam prawo! Daje mi je miłość! Czy i ty chcesz mnie oszukiwać?!
— Miłość polega na zaufaniu!
— Więc czemu nie chcesz pokazać?
— Czy nie rozumiesz, że mogę mieć jeszcze coś prócz ciebie?
— Coś, czy kogoś?
— Coś, Nuno!
— I to coś bardziej kochasz, niż mnie?!
— A żebyś wiedziała! Bo to mnie nie zawiedzie nigdy, a ty, a ty za pierwszą wątpliwością, lub za pierwszym mężczyzną pójdziesz sobie! Nie wierzysz mi! Więc czymże były twoje wzniosłe słowa?! Słowa, Nuno, puste dźwięki, którym czasem nawet fałsz może nadać tony prawdy!
— Nie byłeś dziś, a ja czekałam!
— Byłem zajęty! Nie mogłem się oderwać od pracy!
— Ty nie mogłeś się oderwać od pracy?! Ty, ty pomylony student wałęsający słę z wydziału na wydział, ty, ty... i praca!
— Jaka ty jesteś niesprawiedliwa!
— To ty jesteś wszystkiemu winien! — zaniosła się płaczem.
— Uspokój się! Dostałaś chyba histerii!
— O jakiś ty podły! P o d ł y ! ! !
— Czy przyszłaś po to, aby mnie denerwować?!
— O jaki podły!
— Uważaj! Za mocnych słów używasz! No, uspokój się, malutka, pomyśl, co za sens?
— O, Piotrze! Kto by pomyślał, że się rozstaniemy...
— Mówisz to serio?
— No, tak... Nie można już inaczej!
— Więc uspokój się, Nuno! Nie chcesz chyba, abym ostatnim wspomnieniem widział cię histeryczką?! Obetrzyj łzy... Spokojnie podaj mi rękę! Pożegnajmy się jak przyjaciele, przecież dobrze było nam razem?...
Jakto? Więc Piotr może tak spokojnie o tym mówić? Więc nie błaga, aby została, nie szepcze cudownych zaklęć! Więc tak sobie po prostu: „chcesz odejść — to sobie idź!" Ach, to tak! Znaczy, że nie kochał jej nigdy, no tak, typowy mężczyzna, co mu szkodziło brać pocałunki i nie dawać serca?!
Trzeba teraz zachować się z godnością! Wyciera nos. Wstaje i wyciąga do Piotra rękę:
— Tak, masz rację, było nam dobrze razem, świetnie się bawiłam!
Spotyka ukradkiem spojrzenie oczu Piotra, tych smutnych, bezgranicznie smutnych oczu!
— Nauczysz się jeszcze żyć, Nuno, bo teraz to jesteś małą, kapryśną księżniczką, nauczysz się żyć, Nuno, i kto wie... może jeszcze kiedyś... ty... i ja...
— O, nie! Kobiety takie, jak ja nie wracają nigdy!
— Co za banalne zdanie, Nuno i co my możemy wiedzieć o przyszłości, o przeznaczeniu? Nie mówię ci „żegnaj", lecz „do zobaczenia"! Do zobaczenia, maleńka księżniczko! Pamiętaj, że stało się tylko to, czego sama chciałaś, a raczej twój kaprys... Tego pocałunku tam w parku i tego rozstania chciał tylko twój kaprys, nie ty, Nuno!
I taki był koniec!...
Bardzo smutny, bardzo dziwny i bardzo inny, bardzo różny od marzeń Nuny...

ROZDZIAŁ IV.

Po jasnej, gładkiej ścianie wolno przechadza się mucha śmiesznymi ruchami czarnych, drobnych nóżek. Dochodzi do obrazka Stryjeńskiej i wraca gwałtownie z powrotem. Może nie spodobała jej się prostota ludowego rysunku, a może nie miała odwagi do przebycia wypukłości ramy...
Za muchą wlecze się beznadziejna nuda i obojętne spojrzenie Nuny...
— Jeżeli mucha nie sfrunie, nim doliczę do dziesięciu, to zdam maturę.
Raz... dwa... trzy... cztery...
Mucha rozłożyła małe skrzydełka, oderwała się od ściany i monotonnym bzykiem napełniła klasę.
— Więc nie zdam matury!
Nuna nie jest tym wcale przygnębiona. W ogóle nigdy się nie spodziewała, że tak bez lęku, bez wrażeń będzie oczekiwać egzaminu dojrzałości.
„Egzamin dojrzałości" — co za idiotyczna nazwa!
Mała, garbata, potwornie tęga nauczycielka mówi coś sobie ściskając w nieproporcjonalnie chudych rękach pałeczkę od wskazywania na mapie. Ma minę skupioną i natchnioną, jakby doprawdy wyłącznie od tego, co mówi zależały przyszłe losy świata.
Co by się stało, gdyby tak opadła z niej ta niegustowna, staromodna sukienka, jakby została w cudacznych majtkach do kolan, obszytych pewnie falbanką, lub jakby tak w ogóle bez niczego!
Zaraz się robi weselej!
Jak Nunie jest bardzo smutno, to wyobraża sobie ludzi nago i zaraz ruchy ich stają się śmieszne, niezgrabne!
Teraz kolej przypadła na nauczycielkę, ale dobrze jej tak! Po co nudzi i zmusza Nunę do głupich myśli!
I po co takie brzydactwo żyje na świecie?
Może po to, żeby Nuna pomyślała: „co za szczęście, że to nie ja jestem taka brzydka!" Może właśnie tylko po to, żeby się Nunie zrobiło weselej!
Co za nudna lekcja! Zagadnienia historyczne . .
Obok Iza czyta, trzymając na kolanach, „Zagadnienia seksualne".
I to zagadnienia i to zagadnienia! Czy nie wszystko jedno? A kto wie co więcej przyda się w życiu?!
— Zostaw to, Iza! Chcesz być ginekologiem?
— Nie, za długo trzeba studiować!
— Co z ciebie będzie, głuptasku?
— Odczep się! Nie przeszkadzaj!
— Jak nie, to nie! Ale się zaczytała! Idiota! Idiotka! Idiotyczne!
Właśnie tak o wszystkim myśli Nuna, gdy jest zła.
Do klasy wdziera się przeraźliwy głos dzwonka. Nunę oblatuje „gęsia skórka", chociaż nikt nożem nie przesuwa po szkle. Iza obejmuje ją za szyję.
— Nie gniewaj się, Nuna, czytałam w ciekawym miejscu.
— Teraz ty się odczep! — zrzuca niecierpliwie ręce koleżanki.
Następną lekcją jest propedeutyka. Młody, przystojny profesor dziwnie przypomina Piotra, gdy z entuzjazmem prowadzi wykład.
Dlaczego Piotra? Co Piotr ma wspólnego z propedeutyką, lub literaturą?
Ale dlatego, że do niego podobny, Nuna z namaszczeniem pudruje nos i lekko przeciąga usta szminką. Potem robi wampowatą minę i wystawia prawie na środek klasy smukłe długie nogi w pięknych gazowych pończochach. Wyzywająco patrzy prosto w oczy profesora i uśmiecha się trochę ironicznie.
Profesor odpłaca identycznym uśmiechem i oczy jego zatrzymują się długo na zgrabnych, choć trochę za szczupłych nogach.
Nuna nieznacznie podciąga jeszcze wyżej plisowaną spódniczkę od mundurka.
— Panno Czarnocka! Zdaje się, że uczennicom nie wolno nosić gazowych pończoch?
Nuna czerwieni się z oburzenia.
— Kretyn! Jaki kretyn!
— A mnie się zdaje, panie profesorze, że podobne sprawy należą do wychowawczyni!
— Tylko przy wychowawczyni zapewne gazowe pończoszki nie zostają wystawiane na widok publiczny?
— Tu druga licealna, a nie przedszkole! — mruczy pod nosem Iza.
— Właśnie dlatego mogłyby panie być poważniejsze i więcej myśleć o nauce! Przechodzimy do lekcji!
Nuna jest wściekła. Tak wściekła, że zaciska mocno zęby, żeby się nie rozpłakać ze złości.
Chowa pod ławkę nogi w ośmieszonych pończochach i gładząc delikatną pajęczynkę powtarza w kółko:
— Jaki kretyn! Jaki straszny kretyn!
Potem myśli na pocieszenie, że wieczorem usłyszy wiele miłych słów, że o szóstej ma lekcję muzyki, że profesor Łęcz jest bardzo sympatyczny i nigdy nie postąpiłby tak, jak ten bubek od propedeutyki!
Tak, świetnie, właśnie bubek!
Profesorska osoba na zawsze pozostanie już „bubkiem"!
— Nie przejmuj się, Nuna, może mu żona na łbie garnek stłukła, dlatego taki pies!
— Też sobie wyobrażasz! Mam się czym przejmować!
— No, no, nie było ci miło.
— Nie myślisz chyba, że mi na nim zależy?
— Zawsze przyjemnie skokietować belfra.

Dalszy ciąg nastąpi



Felieton dla pana

T. BOGUSZEWSKA

ykle jest śliczna i młoda. Mało powiedzieć zwykle: z a w s z e! Tajemnica otacza ją ełką dziwnego uroku. Usłużni przyjaciele ściej przyjaciółki), chętnie zasypują cię ndalicznymi historyjkami z jej niesłycha- przeszłości — nie wierzysz, przecież i tak konkretnego nikt o niej powiedzieć nie ie. Zresztą, wystarczy ci jedno jej cudne jrzenie, spod długich, uhennowanych rzęs, ś przebaczył i zapomniał o wszystkim!

Nazywasz ją swą czarodziejką, boginką, rnoksiężniczką... Nazwania najzupełniej sadnione — jest przecież nieskazitelnie smukła, ma przepysznie czarne, złote lub natne włosy, i oczy podłużne, migdało- — o uroczym blasku błękitu, zieleni lub mnego brązu... Nierzadko używa oszałamiających perfum, a odcienie jej pudrów, nadek do ust i lakierów do paznokci — wają najrozmaitsze! Słusznie jest więc dla bie czarnoksiężniczką i czarodziejką — ... jest nią tylko do czasu, — do czasu rwszej małżeńskiej sceny.

Od niej, od owej sceny, najczęściej zostaje olna jedynie już tylko czarownicą.

Gdy pozwolisz sobie rzucić jej w rozjeżdżone wściekłością oczęta to brzydkie wo, któremu przeczy nawet tradycja: bo aradne i ponure wiedźmy-czarownice, któh było tak wiele w bajkach z dziecinnych ich lat tak bardzo przecież różnią się od j...: Gdy więc padnie owo słowo — („och! muż je wymówiłem", rozpaczasz po niezasie) — następuje katastrofa, mała lub ksza (zależnie od temperamentów: twego j), rozciągłość owej „katastrofy" waha się nak zwykle pomiędzy „burzą w szklance dy", a lokalnym trzęsieniem ziemi.

'o chwili krótszej lub dłuższej, gdy wszystsię uspokoi (łącznie z wami) i wróci do czej harmonii — postanawiasz skrycie nie jeżdżać już nigdy na małżeńskie forum komplementami tak wątpliwej jakości. łusznie zrobisz miły przyjacielu, dziwię w ogóle, żeś rozpoczynał mówić o tym śno — wszak w głębi duszy, któż ci za-



ni myśleć to lub owo... W ogóle, uważasię za istotę wyższą (z racji swej płci), stworzenie rozumne, logiczne i konseentne — nie powinieneś strzelać głupstw, tak — nie nabiwszy — ale podejść do ego zagadnienia z głową na karku:

– Przede wszystkim — czyś zastanowił się dy jak odróżnić **czarownicę** od normalnej elicy (do której to ostatniej nazwy aspi- najmniej 99% uroczych przedstawicie- płci pięknej)? Więc słuchaj, najzwyczajj: wystarczy popatrzeć jedynie w jej y — jeżeli z głębi czarnych źrenic zaeje się do ciebie rogate diablątko, to wtedy już będziesz wiedział co o niej sądzić. Twierdzisz, że przecież 99% młodych pań miewa diabliki w oczach! Nonsens! Przypatrz się lepiej — najczęściej za diabełka widzianego w jej źrenicach bierzesz odbicie własnej swojej twarzy — a przecież nie sądzę, aby cię coś łączyło z rogatym obywatelem ciemności.

Następnie, jeżeli masz jakieś niepewności, jeżeli wydaje ci się jednak jeszcze coś niejasne — zrób gruntowną rewizję własnego mieszkania, szukaj po szafach, pod tapczanem, w łazience. Gdy znajdziesz przedmiot przypominający wyglądem brzozową miotłę — ręczę że sprawa zacznie i mnie wydawać się mocno podejrzaną: ten nieodzowny czarowniczy rekwizyt, w mieszkaniu czyszczonym elektroluxem, już poważnie obciąża twoją ukochaną. Wprawdzie będzie ci ona tłumaczyć, że to nie miotła, tylko rózga, pozostałość po wizycie św. Mikołaja, — później oświadczy ci, że w mieszkaniu z centralnym ogrzewaniem nie ma komina, przez który by mogła wyfrunąć dosiadłszy brzozowego rumaka. Nie wierz jej — oczywiście nie chcąc wzbudzać podejrzeń, udaj, że te jej wywody bierzesz za „dobrą monetę" — natomiast czym prędzej zaproponuj jej miłą przejażdżkę kajakiem po Wiśle.

Wiesz chyba co to jest tzw. „pławienie czarownic". Działo się to jeszcze za owych dawnych, dobrych czasów, kiedy to „znaki na niebie i ziemi" najlepiej objaśniały „co, jak i kiedy" — decydując o losie poszczególnych jednostek. Wiesz więc o tym, że rzucano podejrzane niewiasty do wody, i te, które od razu tonęły — opłakiwano jako niewinne ofiary omyłki, zaś te, które dłużej utrzymywały się na powierzchni — wyławiano, i brano na tortury, w czasie których chciwi sensacji oskarżyciele, sędziowie i „oprawcy" — dowiadywali się nieprawdopodobnych historii — a później następowała „humanitarna" uroczystość palenia na stosie. Oczywiście nie leży w mojej intencji proponowanie ci podobnej zabawki, bo ręczę, że zacząłbyś ją najchętniej ode mnie — ale ani tobie, ani jej nie zaszkodzi, jeżeli ją dla wszelkiej pewności (i dla uspokojenia samego siebie), ślicznie spławisz w chłodnych falach Wisełki... Co prawda — jestem pewna, tak jakbym była tuż przy was, że mniemana „czarownica" da czarującego nurka w szarozielone odmęty, a wylądowawszy na przeciwnym brzegu, smukła i urocza w barwnym, obcisłym trykocie — będzie się do łez zaśmiewać z twoich niezdarnych borykań i kłopotów, w które cię wprawi niesforny kajaczek, kręcący się po wirach w kółko niczym fryga.

Więc i tym razem „klapa" — klapa na całej linii: utonąć — nie utonęła (dzięki Bogu...), ale na wodnej powierzchni też się nie utrzymała — i w ogóle, nie wiadomo co o niej sądzić.

Pozostaje jeszcze ten co tygodniowy bridge u przyjaciółek, czysto damski, jak ustawicznie zaznacza, może w obawie byś nie zechciał jej kiedy towarzyszyć. Zaskocz ją przy najbliższej sposobności (gdy jest zaspana i zmęczona — tuż po powrocie) jakimś fachowym pytaniem w związku z ową grą. Gdy rozpromieni się, rozentuzjamuje — gdy zacznie ci wytrajkotywać wszelkie szlemy i szlemiki, które były i które mogły były być — bez atu i contra, koronki (nie z kombinacji, a karciane) oraz w ogóle kombinacje i przeciągnięte licytacje — nie przecz, nie zatykaj uszu, nie przerywaj, — wysłuchaj mężnie i cierpliwie, a gdy już naprawdę dłużej słuchać byś nie mógł: zamknij jej usta — ale pocałunkiem (mówię ci, to jest jedyny na kobiety sposób), przy tym oświadcz, że już nigdy nie nazwiesz jej czarownicą, że to było z twojej strony brzydkie i niesłuszne (wszak w głębi duszy nikt nie zabroni ci myśleć to lub owo...). Co prawda, stwierdzam uroczyście, że obecnie i ja już trzymam jej stronę: Stanowczo jest niewinną, na Łysej Górze nie grywa się nawet i teraz w bridge'a— tam odbywają się zupełnie innego rodzaju (daleko ciekawsze) zebrania. Jeżeli pan chce koniecznie, to opowiem panu coś niecoś na ten temat:

Pod nazwą „Łysa-Góra", nie należy rozumieć jedynie owej góry w kieleckim, noszącej tę nazwę. Łysą-Górą w terminologii czarnoksięskiej nazywamy każde miejsce uprzywilejowane odbywającymi się na nim cotygodniowymi sejmikami czarownic. Jest to przeważnie jakieś pustkowie, omijane przez ludzi i zwierzęta, najczęściej wzgórze, nierzadko uroczysko wśród bagien i trzęsawisk, stara, rozwalona karczma, lub rumowisko zarosłe ostami i pokrzywą. Noc zebrań łysogórskich nie jest w każdej okolicy jednakowa: tu upodobały sobie miłe wiedźmy czwartki, gdzieindziej piątki, lecz największe powodzenie miewa zwykle sobota!

Więc też gdy noc rozsnuje nad ziemią zasłonę szafirową, przetkaną srebrnymi smużkami drżących promieni gwiazd, gdy pracą umęczeni posną w chatach ludzie, w gniazdach przestaną już świergotać ptaki — dopiero wtedy, nie wcześniej — należy śpieszyć na łyso-górskie zebrania!

Trzeba się tylko dokładnie wysmarować pewnym gatunkiem specjalnej „czarodziejskiej maści", (recepty z pewnych wiadomych mi powodów podawać na razie nie zamierzam), która ma między innymi, właściwości unoszenia w powietrze i przenoszenia z miejsca na miejsce (samolot kosztowny, wymagający obsługi, benzyny — a tak często zawodzący — ani się umył do tego rodzaju lokomocji!). Dla wygody, a również w celu lepszego sterowania należy dosiąść miotły, ożoga lub chlebowej łopaty. Najszykowniej jest oczywiście wyjeżdżać kominem — ale w końcu i okno też może służyć do tego celu. (Czy sobie wyobrażasz jak to jest cudnie: cicho, bezszelestnie wzbić się wysoko nad uśpioną ziemię, ku górze pomiędzy roje srebrno-złotych gwiazd!)

A na Łysej-Górze, strzelają już radośnie iskry kolorowe z ogniska, w koło którego zebrała się rozbawiona drużyna!

Sowy, puszczyki obsiadły wkrąg gałęzie drzew rosnących tuż wokoło, koty czarne, lśniące, puszyste łaszą ci się przymilnie do nóg, natarczywie domagając się pieszczoty. Nie, odtrącać ich nie wolno! bo niewiadomo kto się pod ich postaciami ukrywa... Mnóstwo różnych gadów, płazów i ropuch powypełzało ze szczelin pełnych cienia do kolorowego blasku ogniska!

Stary cap wygrywa na radle diabelskie melodie i rozbrzmiewają swawolne chichoty wiedźm młodych i starych — przeróżnych, a przy każdej z nich „koziu" lub „panicz" — czarny, opalony, śliczny — do uciechy zachęca, do hulanki namawia! (Cóż z tego, że pod wieńcem fauna, maleńkie różki w czarnej czuprynie się kryją — są przecież tacy uroczo beztroscy i mili...)

Poważne obrady także miewają na tych zebraniach swe miejsce: zdaje się sprawę z całotygodniowej działalności, odbiera się pochwały, nagany, wskazówki i rady na przyszłość. Przyjmuje się nowych członków sekty czarnoksięskiej, ponawia przysięgi, obietnice, zaklęcia — a później tańczy! tańczy! tańczy! i pije! i swawoli i... i... nie, nie! nie trzeba już dalej plotkować... wiem, że i tak dowiedział się Pan ode mnie „o wiele za wiele" — aż gotóweś wykombinować jakiś nonsens pod moim adresem... Nie będę się tłumaczyć, ani ci udowadniać jak bardzo jesteś w błędzie, bo znam już na tyle Panów w ogóle, a Pana w szczególności, aby zrozumieć, że nie ma rady, gdy któryś z was ubzdura sobie coś i w coś uwierzy... Ale to niegodziwie tak o mnie myśleć. Wiem, jestem taką, jaką jestem... ale nie! proszę mi wierzyć — ja naprawdę na Łysą-Górę nie jeżdżę...



oezyj Bronisława Króla

WIERSZ

toczył się przez głowę rozszalałym walcem,
śl nadążyć nie może za galopem słów,
zbrał strugą pienistą i przez drżące palce
ynął na biel papieru najpiękniejszą z mów.
Litery — musujące, płomieniste krople —
rozżarzoną kaskadą biją równy rytm.
(tętni blask po otwartym, roześmianym
[oknie —
werbel słońca na nowy, nadchodzący świt.)

as roztopił się w wielką, elektryczną iskrę,
ekuł serce w drgający, czarodziejski klucz:
wszystko nagle jest proste, zrozumiałe, bliskie,
sane jakby w głębię, zogromniałych ócz.

Przez Wczoraj, Dziś i Jutro — błyskawiczną
[podróż
odbył wszystkowiedzący, spotężniały mózg:
— nie ma żadnych tajemnic! — Bóg — jeden
[błysk modry,
bijący słów szeregiem szmaragdowy puls.

. . . .

Warto żyć, by się w jeden wyolbrzymić moment,
przesadzić jednym skokiem tajemniczy próg —
by — na chwilę — zrozumieć — i w świata ogromie
poczuć się wszechobecnym i wiecznym — jak Bóg!

PRAWDA?...

Powolny spacer muchy i pęd jaskółczych skrzydeł —
zygzakiem cięły w spokój wprawionej w błękit szyby.
Aż bieg ich w pewnej chwili na jednej splótł się wstędze
— i wtedy zobaczyłem, — że mucha biegnie prędzej.
I pytam się sam siebie, spojrzenie topiąc w szybie:
czy to naprawdę prawda, czy prawda w perspektywie?...

DZWON

Nad którąś z rzędu trumną — wyuczonym brzękiem
zatrząsł się dzwon cmentarzy i zamilkł w półjęku.
Trumna czarna i smutna i prosta — jak wszystkie —
a w dzwonie serce pękło, czy dźwięk się zachłysnął.
(Ty, którego tu niosą w żałobie pogrzebnej —
czy nikomu?... nikomu nie byłeś potrzebny?...).
Zachybotał się, kaszlnął dzwonieniem bezdźwięcznym
jak gdyby nagle poczuł się taki... zbyteczny.

DOMY

Stoją kamiennym szeregiem po obu stronach ulicy,
patrząc szklanymi oczyma w szklane źrenice —
[naprzeciw;
na zmarszczkach gzymsów zastygła myśl — zatrzymana
[na niczym
ukrytym w głębokim cieniu u stóp bawiących się dzieci.
Zgęszczona, wilgotna ciemność zakrzepła na jamie
[bramy,
pokornie niosącej ciężar nieruchomego numeru.
I nic. Milczenie. A czasem słonecznie-złoty atrament,
rozlany gdzieś na poddaszu w blednące powoli —
[zero.
Wciąż domy, domy i mury. Zrezygnowana półsenność
kapiąca cieniem w ulice — pachnące wędrówką pasma.
I tylko wieża kościelna — odruchem wysokopiennym
wyniosła w błękit rozwarte ramiona wielkiego miasta.
Ulicą, śniącą o niegdyś rosnącej na niej pszenicy,
(dziś bruk przytłoczył zagony i miedze w rosie
[drgające) —
szedł człowiek, prosto przed siebie i kroki pośpiesznie
[liczył.
— Tęsknota jakiegoś domu — za słońcem!...

Jerzy Soplica

KRYSTYNA

Damarra przeniósł się przed kilku laty na wieś, ponieważ sprzykrzyło mu się miasto.

Miał rację. Tu w wiejskim zaciszu mógł spokojnie pracować nad powieścią, której tytuł zmieniał zależnie od nastrojów i okoliczności. Były więc raz „Szczury w salonie", to znowu „Menażeria moich bliźnich" aż wreszcie zeszło na „Pogrzeb młodości". Za tym ostatnim tytułem przemawiały warunki, w jakich Damarra miał pisać. Mieszkał w chałupie, z trzech izb złożonej. Mieszkał sam. Był wszystkim: kucharzem, drwalem, służącą, pomywaczem, praczką. W godzinach wolnych od tych „poetyckich" zajęć zastanawiał się głęboko nad teorią i praktyką życia, w czym dopomagały mu wspomnienia z lat niemowlęcych.

Kiedy tu pisać? jeśli między jedną chwilą schwytanego natchnienia a drugą wypada ugotować śniadanie, potem wyprać koszulę, w końcu trzeba ją także i wysuszyć.

Trzy lata tej mordęgi zrobiły swoje.

Damarra postarzał się trochę, chociaż nie wyglądał jeszcze na czterdzieści dziewięć. W duszy jego coś się popsuło, nie był to cień zwykłej melancholii, nie rozwijała się jeszcze psychopatia ale przeszła przez nią jakaś głęboka rysa.

Damarra nie był wcale odcięty od świata i ludzi. Korespondencja, która dochodziła do trzystu listów miesięcznie absorbowała mu dość dużo czasu ale miał to zadowolenie, że był wciąż w kontakcie ze szerokim światem.

Stosy dzienników i czasopism w kilku językach, przeczytane lub nie otwierane dawały mu pojęcie: co, gdzie i jak. Jedynym meblem nowoczesnym w pracowni Damarry było pożyczane biurko o dużych rozmiarach, wyładowane książkami, kwiatami, gazetami z różnych krańców. Nie było nawet Damarry widać spoza tego biurka. Pracował przy nim przeważnie wieczorami, aż do późnej nocy. Dlatego też wszyscy się dziwili, że tak późno wstaje. Podatków nie płacił, bakonu nie hodował, samogonki nie pędził, paskiem się nie zajmował i żył. Otworzył sobie bowiem „biuro pragnień" i „pomocniczą placówkę przesyłek miłosnych" ku zazdrości miejscowych darmozjadów, którzy urządzali sobie życie cudzym kosztem, łatwo i wygodnie, nakładając mimo to na siebie maskę cierpiętnictwa. Jakkolwiek Damarra unikał tzw. życia nie wykraczał poza zwyczajne ramy plotkarstwa, obracającego się dokoła spraw osobisto-kacykowatych.

Mimo to wszyscy dobrze to czuli, że Damarra jest od nich tysiąc razy sprytniejszy, że ich obserwuje i wszystko o nich wie, każdy szczegół dobrze sobie zapamięta a wówczas będzie gorzej, jak strzeli jaki felieton. Toteż prezeska Towarzystwa Wzajemnej Adoracji, popularnie chrzczona Mytką, oraz członkowie tego osławionego T. W. A. pomykali bokami, by się nie natknąć na Damarrę. Pisali do niego anonimy, pletli o nim ni w pięć ni w dziesięć a wszystko to miało być po to, aby zwrócić uwagę Damarry, że „my, T. W. A. jesteśmy tu ważni, bodaj że najważniejsi". „My" tj. ta kliczka niedorostków umysłowych, nosząca się z pyszna, albowiem zamieszczoną została po raz pierwszy w życiu chyba, w urzędowym „spisie inteligencji".

Ale Damarra na to wszystko „gwizdał", podśpiewywał sobie „oj dana" i zacierał ręce, że otwiera mu się kopalnia przyszłych humoresek. Modele były dobre. Tymczasem, właściwie, nie miał na serio tematu. Chorował na temat.

Dni i noce dłużyły się. Beznadziejność szarego okresu człowieka, wyruszonego z równowagi należytego pojmowania, walczącego pomiędzy młotem wczorajszym a kowadłem jutra, w oczekiwaniu czegoś, co nie ma jeszcze swej nazwy, szczerbiła duszę Damarry.

Nastała jesień. Było jeszcze gorzej. Po ścierniskach kładła się melancholia a w okna pracowni Damarry wkradał się coraz rzadziej, promień słońca. Chwytał go Damarra całą siłą swych oczu, przyzywał, by długo pozostał, zawieszony tak na framudze okna. Malwy schylały łodygi, nabrzmiałe ciężarem kwiatu. W powietrzu nastawała przedziwnie wyraźna cisza. Nie było jeszcze wprawdzie przysłowiowego „deszczu, co o szyby dzwoni" ani złoto-żółtych liści „które dzisiaj nocą zwarzył siwy mróz" a już zaznaczał się próg jesieni. Po klawiszach pianina można było głaskać melodię Szopenowskiego walczyka „Na pożegnanie", a każdej frazie muzycznej odpowiadałby ze smutnym spokojem nieśmiały poszept, który szedł od usypiających pól.

Lato przeszło do molowej, jesiennej tonacji. Na łamach czasopism pojawiły się pierwsze zwiastuny: jesienne wiersze.

Mózg i serce Damarry przepalały powoli jesienne myśli. „Pogrzeb młodości" nabierał szczególnego wyrazu na tle opadających pojedynczo liści.

Powiało smutkiem w pracowni artysty. Jeszcze parę tygodni oczekiwania, a potem ...? Znów biała szata pokryje wszystko to, co nawarzyła wiosna, lato, jesień ...?

Więc znowu zima? To niemożliwe.

W tych rozważaniach otworzył Damarra książkę Hertwiga „Losy wiecznej miłości" a wzrok jego utkwił na wstępnym zdaniu: „we wszystkich wypadkach wielkiej miłości okazuje się, że człowiek — jakkolwiek często zmieniałby swego partnera — to w gruncie rzeczy szuka stale tylko jednego i pokochanego na wieki".

Tak — „szuka", pomyślał Damarra. Człowiek wciąż szuka. Szuka partnera, tematu, szczęścia, przygód, pieniądza, dobrego słowa, uczucia, serca, sławy ... Szuka siebie.

Gdy nie znajduje, zapada się w mrok.

Jeśli znajdzie, nie umie czasami zatrzymać, jeśli potrafi — jest szczęśliwy.

„Stale tylko jednego i pokochanego na wieki" skandował Damarra, grzebiąc we wspomnieniach. I on zmieniał często swojego partnera i nie pokochał nikogo na wieki.

Był bowiem zdania, że zmiana odmładza...

Tymczasem pozostał sam.

A jesień lat stukała niecierpliwie i wzywała Damarrę do pośpiechu.

Stuk ten trawił go. Zdając sobie z tego sprawę, że lata lecą, usiłował otrząsnąć się jeszcze z tej zmory samoty, stwarzając pozornie przynajmniej takie sytuacje, które pozwoliłyby mu jeszcze raz przekreślić ostatni tytuł jego powieści.

W jesienne południe, kiedy snop chorego słońca przemycił się na biurko Damarry, zastukał ktoś w drzwi izby.

— Proszę! — wycedził Damarra matowym głosem, sądząc, że pewnie ktoś, jak zwykle przychodzi do jego „biura pragnień". Lecz po chwili dodał z temperamentem, jakby w przeczuciu czegoś niecodziennego:

— Avanti! wejść!

W drzwiach izby ukazało się dziwne zjawisko. Młoda, nieznajoma Damarze, piękna kobieta. Na pierwszy rzut oka ocenił ją Damarra na jakie 20 lat, spojrzał na łuki jej brwi, karminowe usta, które w tej chwili wymówiły trzy słowa:

— Jestem Krystyna Tobiecka.

Zaledwie Damarra zdołał się przedstawić, Krystyna Tobiecka usiadła już przy biurku, oznajmiając po prostu:

— Słyszałam, że pan pisze wiersze, i dlatego pan mnie interesuje.

Ten celny strzał momentalnie nastawił Damarrę: — Czy dziś w ogóle zajmuje się ktoś, prócz pani, poezją? — Krystyna spostrzegła, iż Damarra rozmyślnie, sprytnie zmienił sens jej oznajmienia, aby usunąć na drugi plan swoją osobę.

A przecież dla niego przyszła.

Pytanie, rzucone przez Damarrę zostało bez odpowiedzi.

Lecz wymowniejszą od słów była pajęcza nić porozumienia, osnuwająca się wokół obydwojga interlokutorów.

Damarra wyczuł, że jesień jego lat zamienia się gwałtownie w lato, że od Krystyny płynie niewidzialny fluid, ożywcza fala podmywa jego serce, właściwe oblicze duszy, przysypanej popiołem szarzyzny dnia dzisiejszego, nabiera rumieńców, buntuje się radośnie i wyzwala z tymczasowych więzów zapomnienia.

Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Krystyna wytrzymywała długo wzrok Damarry, który pragnął ją dosłownie przeniknąć, chcąc z miejsca rozwiązać tę nową zagadkę.

Nie poszło jednak tak łatwo.

Krystyna bowiem zaczęła się maskować, zapewniając Damarrę, że ma dopiero 16 lat, przy czym używała tak przekonywujących argumentów, iż Damarra choć nie chciał to wierzył.

Działała na niego piękną barwą głosu, wyrazistą dykcją, która nadawałaby się znakomicie do recytacji jego smutnych wierszy. Krystyna była umysłowo i fizycznie ponad swój wiek rozwinięta, a w chwilach, gdy rozmowa prześlizgiwała się po tematach uczuciowych Krystyna pracowała intuicją, zaprawianą subtelnym dziewczęcym wdziękiem. Było w tym i trochę kokieterii, lecz w doskonale utrzymanym umiarze..

Gdy karminowe jej usta układały się do uśmiechu zrozumiał Damarra, że może się w nich mieścić cała gama rozkoszy, dotąd mu może skądinąd nieznanych. Toteż wyszukiwał wesołe motywy w rozmowie, by nie pozwolić zastygnąć uśmiechowi na ustach Krystyny.

— Chciałbym odgadnąć, — powiedział Damarra, — jakie są właściwe rysy charakteru i usposobienia pani. Może pani zechce skreślić parę słów na kartce. Proszę usiąść w moim fotelu.

Krystyna uczyniła to, wyjęła z torebki wieczne pióro i na kartce podanej przez Damarrę napisała: „Tło pejzażu jest ciemno-szare", po czym skreśliła swój podpis.

Damarra wpatrywał się przez parę minut w pismo Krystyny. Interesowało go tym razem już nie samo pismo ile ręka, która je prowadziła. Była bowiem piękna, powabna, bez krzykliwego manicure. Chciałby był ją ująć i pieścić.

Lecz nie wypadało się zdradzać.

Odłożył tę myśl na później, kiedy z grafologii przejdzie do chiromancji.

A tymczasem zawyrokował:

— Ponieważ pismo pani pochyla się na lewo, poszczególne litery wyodrębniają się, poza tym jest miękkie, faliste itd., łatwy stąd wniosek, że pani lubi jasno stawiać sprawę, silnie obstaje przy swoim, z niechęcią przyjmuje więzy na siebie nakładane. Jest w piśmie pani cecha niepokojąca: zmienność usposobienia ...

— Dlaczego nazywa pan to cechą niepokojącą? Kogo ona niepokoi? — zagadnęła Krystyna.

Damarra nie wiedział, czy jest to pytanie naiwne czy obliczone na efekt, jakiego spodziewała się Krystyna, toteż odpowiedział jej wymijająco:

— Są natury ludzkie, do których pociąga, mają w sobie pewną przynętę. Przyzwyczajamy się do nich a później następuje rozczarowanie: zmienność usposobienia tych właśnie natur każe się nam rozstawać, wzajemnie porzucać. Samo przez się zrozumiałe, że tego rodzaju cecha charakteru jest niepokojącą a zwłaszcza dziś, gdy nic trwałego pod słońcem.

Krystyna zrozumiała o co Damarze chodzi, więc zagadnęła:

— A czy nie można by tego usposobienia zmienności także zmienić, czy nie istnieje przypadkiem jakaś siła, która potrafiłaby zadać kłam tym twierdzeniom i wbrew grafologicznemu orzeczeniu nie byłoby rozstań ani porzuceń?

— Istnieje, panno Krystyno, nawet nie specjalnie teraz, lecz od wieków, — podchwycił Damarra, — lecz pani zapewne tej siły jeszcze nie zna, jest pani zbyt młoda, nie było jeszcze chyba warunków w życiu pani, aby pani mogła się o tym przekonać ...

— Chciałabym, — oświadczyła Krystyna, — ma pan rację, nie było jeszcze warunków, o przekonaniu się nie było mowy, może kiedy nastąpi, może już wnet, może nawet już idzie ...

Krystyna wymawiała te słowa z taką słodyczą, pełną dziewczęcej, szlachetnej tęsknoty, że pozazdrościć jej mogły tylko róże kremowe, stojące na biurku Damarry. Na nie też skierowała swe spojrzenie, zatrzymała długo, wyjęła z flakonu jedną różę, położyła ją na biurku i rzekła:

— Tę proszę długo zachować, gdy inne powiędnąć będą chciały — do widzenia ...

Damarra nie chciał wprost dać wiary, że akord wzruszeń, jakich doznał w towarzystwie Krystyny, nagle się rozrywa, że tak szybko następuje finale, lecz nie chcąc banalnym pytaniem „kiedy się znów zobaczymy" rozpraszać nastroju, uścisnął rękę Krystyny szczerzej niż tego wymagało pierwsze poznanie, odprowadził Krystynę przed dom i powtórzył:

— Do widzenia ...

Po odejściu Krystyny zmieniło się wszystko w izbie Damarry.

Inaczej wyglądały książki, róże zaczęły mówić, z zakamarków biurka powychodziły miniaturowe postacie fantastycznych chochlików i trzymając się pod ręce rozpoczęły wesołe pląsy dookoła kałamarza. Damarra akompaniował im, przyklaskując rytmicznie, to znowu wyciągnął z szuflady dziecinne cymbałki i ołówkiem wystukiwał na nich melodię z operetki ,przyśpiewując przy tym „cesarzu, cesarzu, to Krysia przyszła tu". — Spojrzał na kalendarz — październik 1943 — ale to niemożliwe, chyba pomyłka drukarska, ja widzę teraz co najmniej rok tysiąc dziewięćset dwudziesty i trzeci . . . Czuję upalne lato . . . słyszę muzykę Franciszka Szuberta „przyjdź i uściśnij mnie."

Otworzył okno jednym ruchem ręki i stanąwszy w nim zawołał:

— Słuchajcie klienci „biura pragnień": mam temat! żywy temat! Sam się rozwinie i w jakiejkolwiek formie się ukaże, nie będziecie go prędko czytać. Wolę go przeżywać zamiast pisać!

Gdyby ktokolwiek z was w to wątpił niech będzie potępiony.

W tej chwili, gdy to wymawiał, dwa liście jesienne oderwały się od gałązek rosłej naprzeciw gruszy i szeleszcząc opadły na framugę okna. Podniósł je Damarra i głaszcząc pomyślał „jesteście zwiastunami szczęścia, tak długo na was czekałem, zostańcie już przy mnie na zawsze".

Przypomnienie



W marcu roku 1930 zamieścił „New York Times" tę fotografię, która przedstawia grupę z pewnego pochodu w Moskwie: maski, które ośmieszają religię i jej zwolenników. Tak było przed 14 laty. A dzisiaj?

Dajemy tylko jeden przykład: wzięty do niewoli porucznik sowiecki Baranow, który jest z przekonania bolszewikiem, wyznaje:

„... My, komuniści, jednak prowadzimy dalej walkę z religią naszym własnym przykładem. Chodzenie do kościoła jest w dalszym ciągu źle widziane. Nastąpi chwila, gdy kościoły same upadną".

Pielęgnujcie zapasy zimowe

Dokończenie ze str. 6.

Pani Giza jako doświadczona (niepowodzeniami zeszłorocznymi) gospodyni poucza nas dalej jak należy przechowywać świeże owoce i ziemniaki. A więc: jabłka składa się oddzielnie od innych zapasów, a przede wszystkim nie przechowuje w jednym miejscu razem z zapasami, które wydają mocny zapach. Piwnica musi być przewiewna o temperaturze od 2°—4° C. Jabłka musi się rozłożyć cienką warstwą na półkach Ale mimo tych ostrożności musi się i jabłka poddawać stałej kontroli. Gdy tylko zauważymy nadgniłe jabłko, natychmiast je wyrzucamy, aby inne jabłka nie „zaraziły się". Oczywiście ta kontrola musi być stałą, jak długo owoce są w piwnicy.

Kartofle niemniejszą troską otacza p. Giza. Dla przechowywania kartofli sporządziła praktyczną skrzynię, (patrz zdjęcie), aby ziemniaki mogły być łatwo przeglądane. Jest to, co prawda, nudna praca, ale opłaca się. W osobnym koszu składa ziemniaki uszkodzone, które muszą być wnet zużyte. Bada też często ciepłotę piwnicy. Jeśli temperatura spadnie tak nisko jak w zeszłym roku, ma na ten cel p. Giza przygotowane maty. Sporządziła je sobie sama ze starych worków, które wypełniła słomą i starymi gazetami. Maty powiesiła przy oknie, pozostawiając tylko mały otwór dla światła. Również i kartofle były podczas silnych mrozów przykryte matami. Wszystkie te przygotowania robi p. Giza i teraz, aby nie mieć przykrych niespodzianek.

KĄCIK SZACHOWY NR 21

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Obrona łotewska.

(Ciąg dalszy).

(5) Ruch 7. G—f4 jest poleconym przez Palamède w r. 1843. Intencja tego ruchu jest rezerwowanie d5, aż do czasu, gdy czarne zagrają c6. Wówczas byłyby obarczone czarne dwoma słabymi pionami d6 i e4.

7. d5 okazało się eksperymentem ryzykownym: 7 . . . S—f6 8. G—e3 G—e7 9. H—d4 0—0 10. S—d2 c5 11. d×c6 w. p. S×c6 12. H—c4+ K—h8 13. 0—0—0 G—g4 14. f3 d5! 15. S×d5 S×d5 16. H×d5 e×f3 17. g×f3 (Spielmann—Niemcowicz, t. m. Semmering 1926). W powstałej teraz pozycji prowadzi 17 . . . H×c2+ 18. K×c2 S—b4+ 19. K—b1 S×d5 tylko do wyrównania gry.

Dr Aljechin i Dr Vidmar polecali tu jako jeszcze silniejsze dla czarnych: 17 . . . S—b4 18. H—b3 poczym Aljechin doradzał 18 . . . Wa—c8, podczas gdy Vidmar: 18 . . . a5.

(6) 7 . . . c6? prowadziłoby do szybkiej katastrofy: 8. d5 G—f5 9. d×c6 S×c6 10. S×d6 G×d6 11. H×d6 S—f6 12. S—c7+ K—f7 14. G—c4+ K—f8 15. S×a8+ (Archer jun.—Hooper, t. Durban 1932).

(7) Czarne muszą znaleźć sposób uniknięcia groźby d×c6 i G×f7. Nieco lepszym byłoby 10 . . . c5 choć wówczas byłyby białe w przewadze. W razie 10 . . . S—h5 nastąpiłoby 11. G—g3 S×g3 12. h×g3 S—d7 13. H—d4 S—f6 14. 0—0—0 c5 15. G—b5+ z przewagą białych (Alexander—Hasenfuss, Olimpiada w Folkestone 1933).

(8) Blake poleca tu grać 11 . . . G—b7.

(9) 12 . . . 0—0; pole b7 było odpowiedniejszym dla gońca (niż d7).

(10) Czarne mogły były uniknąć wymiany tylko kosztem zrujnowania pionów i pozycji: 14 . . . G—d8 15. G—d6! lub 14 . . . a5 15. S—b6 W—a7 16. S×d7 K×d7 17. H—d4 c5 18. G—b5+ K—c8 19. H—c3 itd.

Wariant I, obrona C, kontyn. 1, subwar. b.

1. e2—e4 e7—e5	10. Hd1—d2 h7—h6
2. Sg1—f3 f7—f5	11. Hd2—c3 Sb8—c6 [3])
3. Sf3×e5! Hd8—f6!	12. b2—b4 Hf6—f7
4. d2—d4 d7—d6	13. Gf1—c4 Gc8—e6
5. Se5—c4 f5×e4	14. Sd5—e3 d6—d5
6. Sb1—c3 Hf6—g6	15. Gc1—a3 [4]) Gf8—d6 [5])
7. Sc4—e3? Sg8—f6? [1])	Menke—Wilkins (t. m. koresp. DSchztg. 1932).
8. Se3—d5 Sf6×d5	
9. Sc3×d5 Ke8—d8 [2])	

[1]) A. Kubbel uważa to za decydujący błąd i poleca 7 . . . c6!

[2]) Błędnym byłoby: 9 . . . H—f7? 10. G—c4 c6 11. S—e3 (wchodziło w rachubę 11. S—b6! d5 12. S×a8 d×c4 13. H—e2) d5 12. G—b3 G—e6 (lepsze 12 . . . G—b4+ 13. c3 0—0!) 13. 0—0 G—d6 14. f4 H—c7 (dłużej broniło 14 . . . g6) 15. c4! G—f4? (15 . . . d×c4! 16. S×c4 G×c4 [16 . . . S—d7 17. S—e5!] 17. G×c4 S—d7 18. H—g4 S—f6 19. H—f5 W—f8 było lepszym) 16. c×d5!+ (A. Steiner—Apszenek t. m. Haga 1928).

[3]) 11 . . . c6? 12. H—a5+!

[4]) 15. G—e2 traciło piona b4.

[5]) 15 . . . d×c4 16. d5!

CZĘŚĆ OGÓLNA

Studium Nr 9

C. de Villeneuve (III nagr. w konk. „Pelaya“ 1939).

Czarne: Kd4, Wh8, pion: a5(3).

Białe: Ka1, Sd5, Sh3, piony: a4, b7(5).

Studium 5+3 = 8. **Białe zaczynają i wygrywają.**

Rozwiązanie problemu Nr 9 (Persson):

1. H—e1!

Partia Nr 28

Białe: S. Flohr Czarne: T. H. Tylor

grana w t. w Hastings 1929/30.

Obrona indyjska.

1. d4 S—f6	12. H—a4 S—d4
2. c4 g6	13. G×d4 e×d4
3. f3 d6	14. S×b4 [5]) h5!
4. e4 G—g7	15. g5 S—d7
5. S—c3 0—0	16. 0—0—0 S—c5
6. G—e3 e5 [1])	17. H—a3 G×h3
7. d5 [2]) c6	18. G×h3 H×g5+
8. g4 [3]) a6	19. K—b1 Wa—b8
9. S—h3 [4]) b5	20. Wh—e1 [6]) d3!
10. d×c6 b4	21. H—a5 H—e5
11. S—d5 S×c6	22. W—d2 S×e4!

Białe poddały się.

Uwagi:

[1]) W XV p. pojed. Aljechin—Bogolubow doszły czarne przez 6 . . . d5 do wczesnego kontrataku.

[2]) Gorsze, niż 7d×e5 d×e5 8. G—c5 H×d1+ (jeśli 8 . . . W—e8 9. H×d8 W×d8 10. G—e7 poczem 11. G×f6 i 12. S—d5) 9. W×d1 z atakiem.

[3]) Ten ruch jest przyczyną dalszych utrapień białych. Doświadczenie uczy, że postęp tego piona w obronie królewsko-indyjskiej jest błędnym. Dużo lepszym było 8. d×c6 d×c6 (nie 8 . . . S×c6 9. S—b5 S—e8 10. c5!) 9. H—d2.

[4]) Lepsze 9. H—d2 lub 9. g5 poczem 10. c5 lub też 9. H—b3.

[5]) Strata tempa 14. S—f4 było o wiele lepszym. Następny ruch czarnych uwidacznia beznadziejność gry białych.

[6]) Gdyby 20. S—d3 to H—e3! 21. Wh—f1 H—e2!

Partia Nr 29

Białe: Abdulla Czarne: Gnykern

grana na Jawie w r. 1939.

Gra 2 skoczków w obronie.

1. e4—e5	11. K—e2? H×g5
2. S—f3 S—c6	12. d3 S—e3!
3. G—c4 S—f6	13. H—g1 G—g4+
4. S—g5 d5	14. H—e1 S×g2+
5. e×d5 S—a5	15. H×g2 H×c1+
6. G—b5+ c6	16. K—f2 H—f4+
7. d×c6 b×c6 (G—e2!) (h6!)	17. K—g1 G—f3
8. G—a4? G—c5?	18. H—g3 H—e3+
9. c3? G×f2+	19. H—f2 H×f2+
10. K×f2 S—g4+ (K—h!)	20. K×f2 G×h1
	i czarne wygrały.

Partia Nr 30

Białe: J. H. Morrison Czarne: N. N.

grana w Anglii w r. 1928.

Obrona francuska.

1. e2—e4 e7—e6	6. e4×d5 e6×d5
2. d2—d4 d7—d5	7. Sc3×d5 Hf6—c6??
3. Sb1—c3 Sg8—f6	8. Gf1—b5! Czarne poddały się, gdyż po H×b5 9. S×c7 tracą hetmana.
4. Gc1—g5 h7—h6	
5. Gg5×f6 Hd8×f6	

— Słyszałeś pan? Wczorajszej nocy żona mi się ulotniła.
— Jak-to! A tyś nic nie spostrzegł, panie Ignacy?
— Owszem, obudziłem się, ale udawałem, że mocno śpię inaczej nie byłaby może uciekła.

*

— Ta złośliwa Karolka powiedziała wczoraj, że ja się maluję.
— Nie rób sobie nic z tego, gdyby ona miała taką cerę jak ty malowałaby się także.

*

— Czy ten obraz przedstawia wschód, czy zachód słońca?
— Oczywiście, że zachód słońca.
— Skąd jesteś tego tak pewien?
— Gdyż znam malarza. On nigdy wcześnie nie wstaje.

*

— Nie wolno po szynach spacerować — dróżnik zwraca uwagę podróżnemu.
— Mnie ten zakaz nie tyczy, ja bowiem mam bilet i mógłbym po tych szynach jechać nawet pociągiem, gdybym się nie był spóźnił na pociąg — odpowiedział podróżny.

*

NA WRZESIEŃ

I znowu idzie jesień,
i znów się złocą rżyska,
i znów — o dolo, dolo! —
żal luty serce ściska.

bo przecie koniec końcem,
jeśli nie zełgał prorok,
za krótkie trzy miesiące
będę znów starszy o rok!

PRZYGODA

Zły jestem, jak sto wilków. Wszystko mi się zdaje
szkaradne. Mam do świata urazę głęboką.
bo proszę tylko: — jadę ja wczoraj tramwajem
i robię do miluchnej wiochny śliczne oko,
a ta wstaje i gada: — „Proszę niech pan siada,
Młodym, gdy starzy stoją, siedzieć nie wypada...“

JEJ RACJA

Pan Prot Cichutko (handel zabawek dziecięcych)
wczoraj z wieczora żonkę in flagranti złapał
z młodzieniaszkiem. Oburzył się na nią tym więcej,
im starszy był, klnąc wpadał w coraz większy zapał:
„Z obcym? — ryczał: — ty szmato!! — „Zgłupiałeś ze szczętem
Przecież widzisz, że zdradzam cię z twym własnym klientem.“

KTO MIAŁ RACJĘ?

Babie, która na pasek z mlekiem zjeżdża codzień
do Krakowa, w Krakowie skradł pięć złotych złodziej.
Baba wrzeszczy: — „To rozbój!“ — Ów w śmiech, jak to młody:
— „Rozbój to brać trzy piątki za kwartę pół wody“.

JESZCZE GORZEJ

Jadzia Wypadło (ta co mieszka w suterenach)
powiła w piątek rano nieślubnego syna.
Prawda, że to nieładnie? Lecz powiedzmy szczerze
Jadzia Stokroćska (ta co mieszka na parterze)
czy ładniej postąpiła? Ponieważ szalenie
chciała być panną, przeszła sztuczne poronienie...

CUDOWNE UZDROWIENIE

Kochałem ją. Wyśmiała! — Więc cóż. Najpierw popić
poszedłem, lecz alkohol ból tylko rozpalił
zrozumiałem, że życie moje bez niej wcale
sensu nie ma, że stokroć mądrzej się utopić...
i lepiej dziś niż jutro. Więc ku rzece w krzaki
idę w tym oprych do mnie — w ręku ma nóż, — taki!
„Życie, albo pieniądze!“ Co tu gadać wiele,
ja spać poszedłem z życiem, a dryblas z portfelem.

TRAGEDIE

Kiedy byłem mały
mówiła mi babka
— nie zrywajże jabłek,
nim dojrzeją jabłka.

Dziś jabłka dojrzały,
wdzięczą się cacanie
zato ja przejrzałem
zębów nie mam na nie...

WSTYDLIWOŚĆ

Rzekła krowa do krowy:
— „Słyszałaś dowcip nowy?
Pewna piękna jałówka...“ — „Zlituj się, mów ciszej
lub powiedz kiedyindziej, — teraz byk nas słyszy!“

CZY PAMIĘTA?

Czy pamiętasz ów wieczór? Przyszłaś jasna, drżąca,
pachnąca, w krótkiej, białej, powiewnej sukience,
przyniosłaś mi na włosach srebrny blask miesiąca.
Płonęłaś, gdym o tęsknic swych szeptał ci sile,
Potem jak lilia ścięta padłaś w moje ręce
by wreszcie rzec: — „Nic więcej? Co, więc tylko tyle??!!

OGŁOSZENIE

Ponieważ na poezji nie udało mi się
zbić forsy, a za długo trwa sprzedaż w komisie,
od jutra wysprzedawać będę na tandecie
co tylko chcecie:
— szczerozłote nowiki, młodziutkie zupełnie
i dorosłe księżyce, co już zaszły w pełnię;
— złote słoneczka; tęcze w kompletnym wyborze;
— seledynowe świty; rubinowe zorze;
— perły łez; — brylantowe rannych ros kropelki;
— dziecięcych warg miód słodki;
— babiego lata motki;
— stubarwne kwiaty, uczuć; tęsknot ostre noże;
— szafirowy niebieski namiot bardzo wielki;
— kaszę z gwiazd; — szyjki łabędzie;
— Wiśnie ust; — Dla każdego coś będzie,
Samych jasnych błyskawic śmiechu cztery worki
sprzedam... Stoję przy maśle w soboty i wtorki.

Wujcio z Komina.

— Dlaczego więc przynosi mi pani samo wahadło?
— Zupełnie proste, cały zegar jest dobry, tylko wahadło co chwilę staje.

Rys: Czecha — Kraków

— Musimy sobie jakoś pomóc, koledzy, gdyż jeden absolutnie nie da sobie rady przy zwalczaniu tego „kontrtorpedowca ubezpieczającego“.

Das Illustrierte Blatt

— A wiec zazdrość twego męża jest całkiem nieuzasadnioną?
— Oczywiście, — on zupełnie kogo innego podejrzewa!

Rys. Zmudz.

— Chciałbym dostać jckiś środek na kaszel...
— Mamy różne.
— To może teraz zakaszlę, aby pan mógł wybrać odpowiedni?

Rys: Empp — Kraków



U góry i dołu:
WSPANIAŁE OKAZY SREBRNYCH LISÓW
Srebrne lisy czują się najlepiej w porze zimowej. Całymi dniami przesiadują i baraszkują na puszystym posłaniu ze śniegu.



Na prawo:
PIĘKNA PARA MŁODYCH LISKÓW
Porzucone przez złą matkę młode liski, w kilka dni po przyjściu na świat, urałował od niechybnej śmierci troskliwy fermer, oddając je pod opiekę starej kotki. Przykładów takich można napotkać wiele, gdyż złośliwe lisice niejednokrotnie nie chcą karmić młodych i wyrzucają poza klatkę. Wtedy osierocone lisie szczenięta oddaje się pod opiekę starej kotki, specjalnie przy fermie hodowanej, która sądząc widocznie, że to jej młode opiekuje się młodymi lisami i dokarmia je.



Fot. i tekst — matiola



GROŹNE SPOJRZENIE SPŁOSZONEGO LISA
Na drugim planie widoczny drewniany domek z ocienionym wybiegiem.

Poniżej w kole:
SAMICA Z MAŁYMI
W porze letniej stare lisy zmieniają sierść i wtedy ich piękny wygląd zostaje mocno zeszpecony.

Na prawo:
TRZYLETNI SAMIEC W FUTRZE ZIMOWYM





SREBRNE LISY

Mniej więcej 60 lat temu pierwsza Kanada zapoczątkowała zakładanie ferm lisów udomowionych. Pionierem tej nowej hodowlanej gałęzi był niejaki Dalton. Wszystkie lisie futra noszone dziś przez nasze panie — to skórki wyłącznie z udomowionych lisów; dzikich srebrnych lisów dzisiaj prawie że nie ma. Lisów udomowionych mamy cztery gatunki: Lisy srebrne, niebieskie, białe polarne i krzyżaki (osobny, odrębny gatunek).

Srebrne lisy w stanie dzikim występowały tylko sporadycznie, nie tworząc odrębnego gatunku.

Przed wojną największe hodowle były w Niemczech, a liczba lisów w poszczególnych hodowlach dochodziła do 1000 sztuk.

W Polsce hodowlę lisów zapoczątkowano w roku 1928.

Materiał sprowadzony wprost z Kanady był pierwszorzędny, tak, że nasze hodowle stanęły zaraz na początku na wysokim poziomie, zajmując po Kanadzie drugie miejsce.

Najładniejsze skórki pochodzą z młodych lisów.

Czym sztuka jest starsza, tym skórka jest ciemniejsza i mniej wartościowa. Piękność skórki polega na tym, aby była silnie usrebrzona, koniec ogona czyli kwiat powinien być biały.

Udomowiony lis jest większ i ładniejszy od dzikiego.

Lisy srebrne należące do przysłowiowo chytrego ogólnego rod lisiego są złośliwe i nietowarzyskie, dlatego też klatki muszą sta od siebie w pewnej odległości.

Lisy na fermach trzyma si w klatkach drucianych z drewnianymi podłogami.

W klatkach ustawia się specjalne domki, które wewnętrznym przegródkami przypominają lisi norę.

Lisy muszą mieć bezwzględny spokój w czasie cieczki i kied mają młode. Bardzo często si zdarza, że niepokojone samice zagryzają, a następnie zjadają swoj małe.

Samica ma raz na rok młode — około 3—4 sztuk. Cieczka odbywa si w styczniu, lutym do połowy marca po 52 dniach przychodzi na świat potomstwo.

Lisy żywi się pokarmem mieszanym 600 gr na sztukę dziennie. Karma składa się z surowego mięsa i jarzyn Najlepsza jest gotowana kasza i pomidory, zepsute jaja, cebula. Do picia podaje się im wodę. Na ogół pij mało. Sztuki hodowlane można trzymać 10—12 lat.



Ogólny widok fermy srebrnych lisów.